

Dziewiętnastoletnia
Basia w Gdyni



Dwuletnia
Basia uwielbia
pozować
do zdjęć

TYLE RZECZY DO ZROBIENIA

*Nigdy nie ukrywałam, że całe moje
życie poświęciłam pracy – mówi
Barbara Krassówna, aktorka.*

TEKST **KATARZYNA TROSCZYŃSKA** FOTOGRAFOWAŁ **MATEUSZ STANKIEWICZ**



Już kolejną godzinę spacerowali po Gdańsku. Spacerowali?! Nie, to złe słowo. Prawie biegli za tą niezmordowaną 78-latką.

– Basiu, już dość, na miłość boską, ileż można?! Chodzimy tak od rana – Adam Łukaszewicz błagalnie spojrział na ciotkę swojej żony, Barbarę Krafftównę.

– A właśnie, że nie dość – zaprotestowała starsza pani. – Chciałabym jeszcze iść pod Neptuna i nad Motławę, a potem przecież planowaliśmy odwiedzić Jarmark Dominikański.

– Masz złe buty – Adam próbował apelować do rozsądku ciotki.

Krafftówna zerknęła na eleganckie czółenka.

– Rzeczywiście – stwierdziła trzeźwo. – Nie są wygodne, ale trudno. Jest tyle rzeczy do zobaczenia, nie sądzisz chyba, że spędzę wieczór zamknięta w czterech ścianach z powodu własnej niefrasobliwości dotyczącej wyboru butów?

– Cała Basia – Adam Łukaszewicz z rozbawieniem podsumowuje rodzinny wyjazd sprzed dwóch lat. – Tak wygląda każda nasza wyprawa. My z Ela już ledwo łapiemy oddech, a Basieńka rzuca: „Jeszcze tę wystawę trzeba zobaczyć i tę”. A że ma ogromną charyzmę i trudno jej odmówić, podążamy za nią bez słowa.

Tak jest właściwie bez przerwy. Nie ma wystawy, której by nie obejmowała, artystycznego wydarzenia, o którym by nie słyszała. „Widziałas już Yoko Ono?”, spytała ostatnio Krafftówna siostrzenicę. „Nie widziałam”, odpowiedziała Ela zgodnie z prawdą. Ciotka wzdycha:

„Ja już byłam. Myślałam, że podyskutujemy na ten temat”. „No, oczywiście”, uśmiechnęła się siostrzenica. „Nie wątpię, że zdążyłaś już to zobaczyć. Pewnie nawet gdybyś pracowała dwadzieścia cztery godziny na dobę, wyczarowałabyś dwudziestą piątą godzinę na oglądanie tego, co twoim zdaniem każdy kulturalny człowiek zobaczyć powinien”.

– Basi trudno zrozumieć, że nie wszyscy mają tyle sił i energii co ona – z rozbawieniem stwierdza Elżbieta Łukaszewicz.

NIE MAM CZASU NA EKSTRAWAGANCJE

Gwiazda lat 60. Aktorka filmowa i teatralna. Genialna zarówno w rolach dramatycznych, jak i komediowych. Słynna Felicja z „Jak być kochaną” Wojciecha Hasa, Honorata z „Czterech pancernych i psa” Konrada Nałęckiego i Makowiecka z „Przygód pana Michała” Jerzego Hoffmana. Znana z telewizyjnego Kabaretu Starszych Panów Jerzego Przybory i Jerzego Wasowskiego. Piosenki w jej wykonaniu, takie jak „W czasie deszczu dzieci się nudzą”, „Zakochałam się w czwartek”, „Przeklę cię”, śpiewała cała Polska.

Aktorka niebawem kończy osiemdziesiąt lat. Z tej okazji Remigiusz Grzela specjalnie dla niej napisał sztukę „Oczy Brigitte Bardot”. Krafftówna zagra w Teatrze na Woli kobietę, która u schyłku życia pozwała sobie na ekstrawagancję, o której marzyła przez lata – podróż takśówką na Łazurowe Wybrzeże.

A ekstrawagancje aktorki? W warszawskim Wedlu zamawia gorącą czekoladę z dodatkiem mięty. – Chyba ta czekolada to moja ekstrawagancja – żartuje. – Kiedyś trzymałam się z dala od słodczy. Wygląda świetnie. Dyskretny makijaż, elegancka koszula bordo pod szyją spięta finezyjną broszką.

Przygotowania do nowej sztuki Remigiusza Grzeli to tylko jedna z wielu zawodowych aktywności Krafftówny. Aktorka właśnie wróciła z próby do spektaklu „Alicja”, który będzie otwierał Międzynarodowy Festiwal Teatralny w warszawskim Teatrze Dramatycznym. Kilka dni temu poproszono ją również, by wzięła udział w koncercie z okazji jubileuszu Kabaretu Starszych Panów. – Nie mogłam odmówić – wyjaśnia, jakby sama trochę przestraszona tym, ile na siebie wzięła.

Pracę Krafftówny organizuje jej siostrzenica Ela. To ona jest prawą ręką aktorki. Codziennie odbiera telefony z kolejnymi zaproszeniami. Dzwonią z telewizji, radia, wydawnictw. Ostatnio Elżbieta Łukaszewicz za każdym razem szczerze ostrzega: „Nie przypuszczam, żeby to się udało, tyle ma teraz zajęć”. A potem okazuje się, że ciocia jest w stanie pogodzić wszystko. Zgadza się ochoczo i biegnie na kolejny wieczór autorski czy zostaje gościem specjalnym nowego programu. Krafftównę często ktoś pyta: „Skąd taka kondycja?”. A ona codziennie ćwiczy jogę, od lat nie pali, nie pije herbaty ani kawy, nie je mięsa. Uwielbia za to sushi. – W Warszawie najlepsze sushi jest na placu Żbawiciela i na Jasnej – zapewnia.

– Zawsze żyłam w bardzo wielkiej dyscyplinie – twierdzi aktorka.

– Praca w teatrze nie może mi tego zakłócić. Niezależnie od tego, jak bardzo jestem zajęta i zmęczona, nigdy nie zrezygnuję z jogi czy ćwiczeń głosu.

TRZEBA NAD SOBĄ PRACOWAĆ

„Dyscyplina” to jedno z jej ulubionych słów. Dyscyplina to, dyscyplina tamto. Okazywała się niezawodna nie tylko w pracy, ale również w trudnych chwilach, których miała w swoim życiu wiele. – Pamiętam 1959 rok – wspomina Krafftówna. – W Wielką Sobotę wieczorem zmarła moja mama, a następnego dnia miałam w telewizji na żywo program muzyczny. Musiałam wystąpić. Tamtego dnia

przeszłam najtrudniejszy egzamin ze zdyscyplinowania.

Aktorka twierdzi, że taką postawę zawdzięcza właśnie mamie, która była „doskonała w każdym calu”. – To ona nauczyła mnie, że trzeba nad sobą nieustannie pracować – twierdzi artystka.

Krafftówna dobrze pamięta również inne lekcje wyniesione z domu rodzinnego. Dwie najważniejsze to: „Zawsze wyglądaj tak, jakbyś szła na bal” i „Problemy zostawia się w domu, świat jest dostatecznie smutny, nie trzeba zadręczać sobą innych”. Mama Krafftówny trzymała się tych zasad i ludzie ją uwielbiali, podobnie jak dziś uwielbiana jest jej córka. Remigiusz Grzela powiedział kiedyś: „Barbara Krafftówna jest cudowną, roześmianą, dziecięcą osobą. Ma w sobie coś z psotnicy. Jakby uśmiech nie schodził jej z oczu”.

Lata 30. Ojciec Krafftówny, architekt, bez problemu zapewnia rodzinie utrzymanie. Matka prowadzi beztrudne życie. Chodzi do teatru, gra na fortepianie, skrzypcach, urządza przyjęcia dla przyjaciół. Dwie córki dziedziczą po niej talent artystyczny.

Mała Basia godzinami bawi się w teatr. W rodzinie mówią: „Rośnie Ćwiklińska”. Jeden z wujków żartuje: „Basieńko, masz żabę na głowie”. A ona, zamiast przestraszyć się jak inne dzieci, bez zastanowienia odgrywa pantomimę „Muszę ją zdjąć” i z udawanym wstrętem wyciąga wymaginowaną żabę z włosów. Tysiące pomysłów na minutę.

Jeszcze w czasie wojny Krafftówna zaczyna naukę tańca i pantomimy. Jej starsza siostra uczęszcza do konspiracyjnego studium aktorskiego Iwo Galla, na zajęcia zabiera młodszą Basię, z którą nie →

„PROBLEMY ZOSTAWIAM
W DOMU. NIGDY NIE
ZADRĘCZAM SOBĄ INNYCH”.



Wiem, że niedługo
konczy pięćdziesiąt
lat, pracuję od rana
do wieczora. Do tego
codziennie trenuje
język i ćwiczę głos

wiadomo, co robić, tak ją ciągle rozpiera energia. Po wojnie Gall otwiera własne studio w Krakowie. Krafftówna kończy je w 1946 roku. Już wie, że będzie aktorką. Inny zawód jej nie interesuje. Debiutuje w Teatrze Wybrzeże, który wtedy mieści się w Gdyni, w spektaklu „Homer i Orchidea” reżyserowanym przez Iwo Galla. Tak wspomina tamte czasy: – Iwo Gall dostał propozycję przeniesienia się z całym zespołem z Krakowa do Gdyni. Czuliśmy się wszyscy jak trupa teatralna. Występowaliśmy nie tylko na deskach Teatru Wybrzeże, ale też graliśmy po różnych wsiach i miasteczkach. Nie było, oczywiście, żadnych specjalnych autobusów czy wozów. Podróżowaliśmy więc ciężarówkami, siedząc na twardej ławkach, okryci kożuchami i kocami.

Później jest Łódź i Wrocław. W 1953 roku Krafftówna przenosi się do Warszawy. Niespełna dziesięć lat później jest już laureatką licznych nagród filmowych, teatralnych i jedną z najpopularniejszych polskich aktorek.

JAKI POWINIEN BYĆ MĘŻCZYZNA

Nigdy nie ukrywała, że poświęciła się pracy. Przez całe lata jej życie wyglądało mniej więcej tak: w ciągu dnia próby teatralne, wieczorem spektakle, później występy w kabarecie, które przeciągały się do pierwszej, czasem drugiej w nocy. Regularnie miała też nagrania do Kabaretu Starszych Panów. – W Warszawie było wtedy jedno studio muzyczne, z którego korzystały i telewizja, i radio. Ka-



„WYSTARCZYŁO DROBNE KŁAMSTWO, ŻEBYM ZERWAŁA ZWIĄZEK. W UCZUCIACH ZAWSZE BYŁAM TWARDA I KONSEKWENTNA”.

baret przez całe lata nagrywany był nocami. Żeby przetrwać ten maraton, w środku nocy fundowałam sobie bardzo mocną herbatę posłodzoną pięcioma, sześcioma łyżeczkami cukru. Dopiero to stawiało mnie na nogi – wspomina artystka.

Twierdzi, że gdyby nie wsparcie pierwszego męża Michała Gazdy, nigdy nie połączyłaby tak intensywnego aktorstwa z macierzyństwem. Tak o tym mówi: – W miłości szukałam wsparcia. Miałam cudownego ojca, dzięki któremu mogłam zobaczyć, jaki powinien być mężczyzna. Zanim poznałam Michała, w uczuciach byłam twarda. Wystarczyło drobne kłamstwo, żebym zerwała związek. Nie przyjaźniłam się z byłymi partnerami. Gdy ktoś mnie skrzywdził, mówiłam: „Módl się, żebyśmy się więcej nie spotkali, gdy mnie zobaczysz, przechodź na drugą stronę ulicy, inaczej przysięgam – będzie skandal”.

Z Gazdą pracowali w Teatrze Młodej Warszawy. Mijali się, bo grali w innych sztukach. Pierwsze spotkanie. Dyrektor teatru zarządza przymusowe szkolenia ideologiczne. Poniedziałek, wczesny poranek. Krafftówna zapamiętuje przystojnego mężczyznę. Kolejne spotkanie. Pochód pierwszomajowy. Krafftówna znów zauważa tamtego przystojniaka, zaczynają rozmawiać. Od tego czasu stają się nierozłączni. Na tyle, że on oświadcza się jej niespełna trzy tygodnie później. Wygląda to mniej więcej tak. „Pojedziesz ze mną w niedzielę na obiad do mojej siostry”, proponuje ona. On z żalem: „W niedzielę nie mogę, gram”. W dniu wizyty dzwonek do drzwi. To on: „Mam wolne, spektakl odwołany, jedna z aktorek złamała rękę”. Ona przygotowuje herbatę, on przez całe mieszkanie krzyczy: „Zostaniesz moją żoną?”. „Ale dasz mi trzy dni na zastanowienie się?”, odkrzykuje ona.

Gazda zaczyna liczyć: „Dziś jest 17 maja, w poniedziałek – 18”. Krafftówna jak burza wpada do pokoju: „Który dziś? Nie muszę się już zastanawiać! Wyjdę za ciebie kiedykolwiek zechcesz”.

– Michała przepowiedział mi kolega, który zajmował się astrologią i numerologią – wspomina Krafftówna. – Stwierdził kiedyś, że 17 maja to będzie przełomowa data w moim życiu osobistym”.

Byli szczęśliwym małżeństwem, w 1955 roku przyszedł na świat ich syn Piotr. – To Michał był matką i ojcem. Czasem śmiałyśmy się, że jestem jego drugim dzieckiem. Rodzinna sielanka trwała siedemnaście lat. Michał Gazda zginął w wypadku samochodowym. Na kolejną wielką miłość aktorka musiała długo poczekać.

NIE SĄ MI PISANE SZCZĘŚLIWE ZAKOŃCZENIA

Symbolizowała aktorstwo niedosłowne, nowoczesne. Jej tytułowa rola w „Iwonie, księżniczce Burgunda” Gombrowicza wystawionej w Teatrze Dramatycznym w 1957 roku odbiła się głośnym echem. – A przecież w ciągu przedstawienia odezwałam się może dwa razy – mówi Krafftówna.

– Aktor może się na scenie zapłakać, a i tak nie wzbudzi żadnych emocji. Rozpacz nie trzeba pokazywać za pomocą łez. Wystarczy znaleźć znak umowny, który w wyobraźni widza zastąpi ten naturalistyczny chwyt – zdradza artystka.

Ten jej styl gry owocuje ciekawą propozycją ze Stanów Zjednoczonych, która pojawia się na początku lat 80. Krafftówna ma zagrać w „Matce” Witkacego. – Zgodziłam się, nie mając pojęcia, że sztuka jest po angielsku. Nie znałam ani słowa w tym języku.

Roli uczy się fonetycznie. Siedem miesięcy mozolnej pracy. I znów jest sukces! Krafftówna zdobywa liczne nagrody.

– Do Stanów miała wyjechać tylko na pół roku, została kilkanaście lat. Jej syn dorósł, ożenił się, wyjechał do Kanady. W Polsce już nie trzymało jej więc macierzyństwo – opowiada Łukaszewicz. W Los Angeles poznała swoją drugą miłość. To też było uczucie od pierwszego wejrzenia. Krafftówna: – Chociaż zakochując się, miałam grubo po pięćdziesiątkę, znów czułam się jak nastolatka. Ale widać szczęśliwe miłosne zakończenia nie były mi pisane.

Adam Łukaszewicz: – Pamiętam jeszcze, że Basia przyjechała do nas w odwiedziny, Arnold miał dolecieć kilka tygodni później. Codziennie dzwonił, śpiewał jej przez telefon piosenki miłosne, pięknie śpiewał. Do Warszawy już nie dotarł. Zmarł na zawał.

Krafftówna podnosiła się z kolejnej straty latami.

I mimo że teoretycznie w Stanach nic już jej nie trzymało, zdecydowała się tam zostać. W Los Angeles współpracowała z Amerykańskim Instytutem Filmowym i Teatrem Michaela Hacketta. Grała m.in. sztuki Gombrowicza.

Rodzina i przyjaciele różnymi sposobami próbowali ściągnąć ją do kraju. Jednak dopiero Piotrowi, jej synowi, udało się na nią wpłynąć. Ostatecznie Krafftówna wróciła w roku 2006. Wtedy też obchodziła jubileusz 60-lecia pracy artystycznej. Z tej okazji zagrała napisany specjalnie dla niej monodram Remigiusza Grzeli „Błękitny diabeł” opowiadający o ostatnich latach Marleny Dietrich.

– Ponieważ współprodukowaliśmy z mężem ten spektakl, mogliśmy na własne oczy zobaczyć perfekcjonizm Basi – opowiada Elżbieta Łukaszewicz. – Była kopalnią pomysłów. Nie tylko aktorskich czy reżyserskich, ale też scenograficznych. „Myślę, że krzesło powinno stać tu”, mówiła. „Kapelusz powinien być taki, a odległość taka”. Wszystko musiało być zapięte na ostatni guzik.

JESTEM PO PROSTU DZIWACZKA

Ma długą i wyraźną linię życia. – Nie wiem, czy się z tego cieszyć – uśmiecha się. Otwarcie mówi, że czuje się ostatnio zmęczona. Chciałaby przespać kilkanaście godzin bez przerwy, porozmawiać przez telefon z synem. – Tak rzadko się teraz widzimy. Nawet nie zauważyłam, kiedy dorósł mój wnuk, już nawet on rozpoczął samodzielne życie – mówi. I chociaż Krafftówna trzyma się zasady, którą w jej rodzinie przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie, że dzieci nie wychowuje się dla siebie – tęskni.

Zaraz żartuje, że może ten cały bieg to właśnie jej przeznaczenie.

– Zawsze uwielbiałam ludzi, ale nigdy nie miałam czasu na spotkania z przyjaciółkami. Gdy już znalazłam chwilę dla siebie, wołałam robić na drutach, szydełkować czy wyszywać firanki. – Trudno współczesnej kobiecie uwierzyć, jak bardzo te czynności potrafią odprężyć, prawda? – bardziej stwierdza, niż pyta.

Zdaniem Elżbiety Łukaszewicz jej ciotka jest w gruncie rzeczy delikatna i wrażliwa. – Nauczyła się po prostu kontrolować emocje – mówi. Dowodem na sentymentalność Krafftówny są liczne pamiątki przechowywane w domu. – Jeśli dostanie kwiaty od kogoś ważnego, zasuszy je i nie pozwoli wyrzucić. Latami potrafi przechowywać rzeczy, które przywołują ważne wspomnienia. To jest jakiś rodzaj wentyla, w ten sposób daje upust emocjom – dodaje siostrzenica. – Jestem po prostu dziwaczką – stwierdza krótko Krafftówna. – I na miłość boską, proszę nie pytać o przykłady. Potrafię analizować innych, siebie niekoniecznie. Zresztą mogą mieć chyba jakieś tajemnice, co pani o tym myśli? – dodaje z kokieterijnym błyskiem w oku. ■